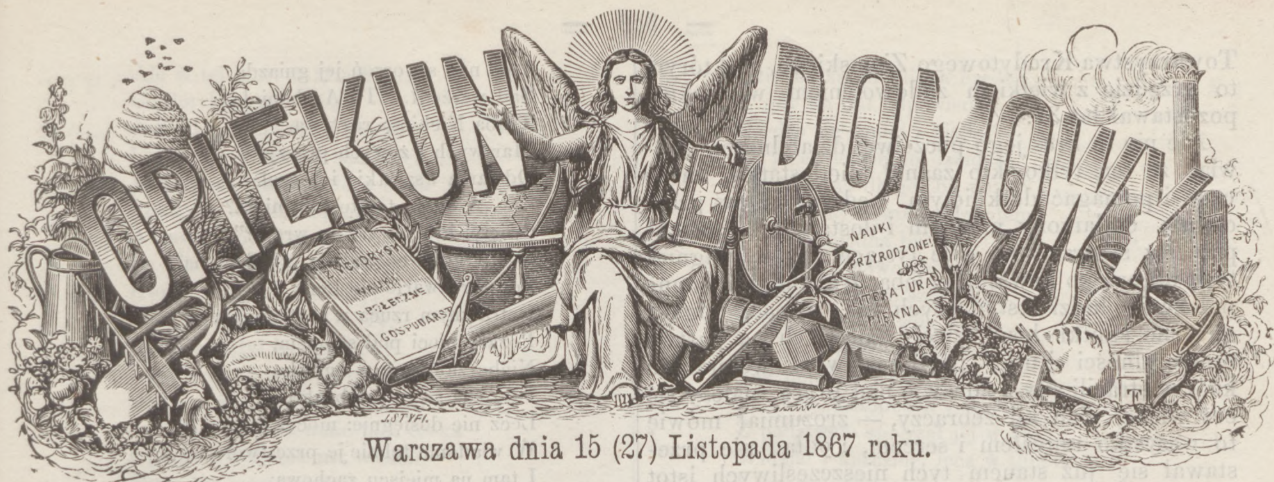
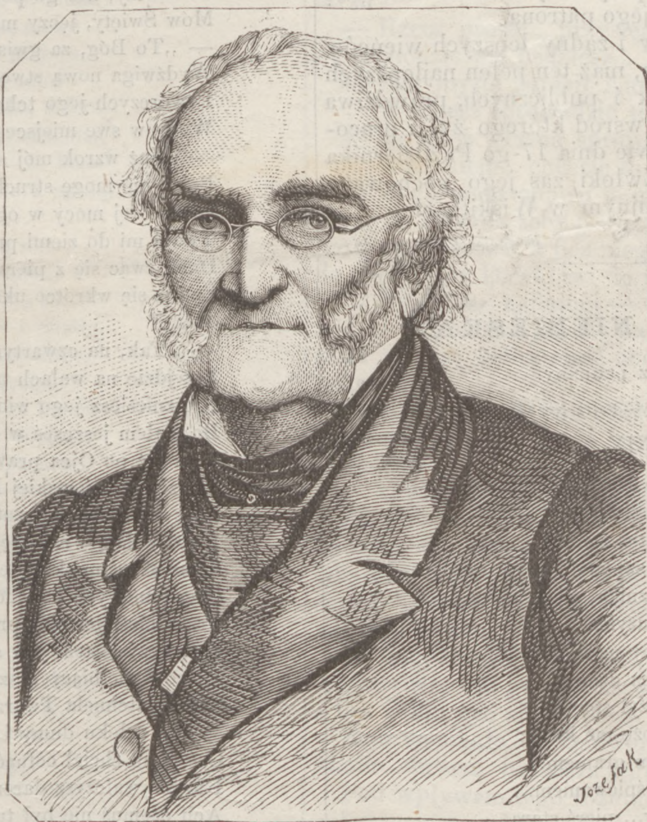


Warszawa dnia 15 (27) Listopada 1867 roku.

Nr 48. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

PIOTR Hr. ŁUBIEŃSKI.

Niedawno, bo miesiąc zaledwie temu utraciliśmy męża, którego zasługi dostąpiły powszechnego a słusznego uznania, — uznania opartego nie na czczej a próżnej wzmiance jakiejś gazety lub pewnego pióra, ale na trwałej wdzięczności ogółu, na pamięci społeczeństwa wśród którego działał, na silnem uczuciu tych serc dla których był opiekunem i ojcem. W miejsce najszumniejszych pochwał i wyliczania czynów jego życia, najlepiej byłoby otworzyć bramy zakładów dobroczynnych, a w nich ujrzelibyśmy jak bieda i nędza, dzieci i starcy sypią mu nagrody mogiłę, stawiają najpiękniejszy pomnik z modlitwy osrebrzonej łzami boleści i żalu. Śmiało można powiedzieć o tym mężu, iż dobrze pojął, zrozumiał i wypełnił posłannictwo swoje na ziemi. Od kolebki bowiem będąc postawionym w wysokich sferach towarzyskich, nigdy przecież nie uchylał się od prac publicznych. Mienie przekazane mu od przodków, nabyte wiadomości i doświadczenie, dobre i poczciwe imię—wszystko to składał dla dobra ogółu i cierpiącej ludzkości, uważając się raczej za rządcę, niż za właściciela tych rzeczy, i będąc przekonanym, że szlachetność utrzymuje się i zyskuje—tylko szlachetnemi czynami.



Piotr hr. Łubieński.

Zajrzyjmy tylko do jego biografji, a łatwo przekonamy się o tem.

Piotr hrabia Łubieński urodził się 31 Stycznia 1786 roku we wsi Szczytnikach w Kaliskiem, z ojca Feliksa i matki Tekli z Bielińskich. Początkowe nauki odebrał w rodzicielskim domu pod światłem okiem ojca, dalsze zaś z chlubą i korzyścią uzupełnił w Wiedniu. W dwudziestym pierwszym roku życia począł już usługi obywatelskie, od zarządu powiatem Sochaczewskim, a następnie wszedłszy do służby wojskowej, zostawał w niej do r. 1813. Jak zaś gorliwie te obowiązki wypełniał, najlepiej odpowiedzą nam pozyskane przez niego znaki honorowe: Śgo Stanisława klassy Iej, Virtuti militari i Krzyż kawalerski legji honorowej.

Potem ożeniwszy się z Barbarą Szymanowską, starościanką Wyszogrodzką, osiadł na wsi i oddał się gospodarstwu. Wiedząc zaś że tylko postęp i udoskonalenie powiększyć może materjalne i duchowe bogactwo kraju, pierwszy zaczął u siebie 1816 r. wyrabiać cukier z buraków, i pierwszy zastosowywa system Adamsa do pędzenia odrazu okowity ze zboża.

Różne a pożyteczne jego zasługi sprawiły to, że obrany został Prezesem Dyrekcji Szczegółowej

Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, na którym to urzędzie z wielkiem zadowoleniem wszystkich pozostawał lat 37.

Ale nie tu kres jego poczciwej działalności. Mówią: że ten tylko kto zaznał niedostatku, może czuć i pomagać dotkniętym nędzą; on zaś przeciwnie obdarzony mieniem i dostatkami, potrafił przecież spojrzeć na owe tysiące rąk wyciągniętych do nas po kawałek chleba, zrozumiał okropne położenie ludzi wstydzących się żebrać, odgadł straszne skutki losu dzieci rzuconych na pastwę niemoralności i ulic, pojął że siwym weteranom którzy stracili siły i zdrowie nad pracą, należy się coś więcej niźli kij żebraczy, — zrozumiał mówię to wszystko umysłem i sercem, i odtąd nie przestawał się już stanem tych nieszczęśliwych istot zajmować, pracując od r. 1827 jako stały Członek Towarzystwa Dobroczynności. Za jego to staraniami i zabiegami, urządzono corocznie trwające w Warszawie loterje fantowe, wybudowano gmach Ochrony dla sierot i starców i zaprowadzono zupy rumfordzkie dla biednych. W 1860 r. obrany został Vice-Prezesem Towarzystwa Dobroczynności, a niedługo potem nawet Prezesem tegoż, który to obowiązek potrafił piastować z taką sumiennością i zadowoleniem wszystkich, że przez wdzięczność i w dowód uznania jego prac i zasług na tem szlachetnem polu, założono przy ulicy Tamka Ochronkę pod tytułem i opieką jego patrona.

Nareszcie syt trudów i żądny lepszych wieńców od tych tu śmiertelnych, mąż ten pełen najlepszych cnót tak domowych jak i publicznych, prawdziwa chluba społeczeństwa wśród którego żył i pracował, umarł w Warszawie dnia 17-go Października r. b., mając lat 82. Zwłoki zaś jego pochowane zostały w grobie familijnym w Wiskitkach.

Franciszek Gumowski.

ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY,

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 47).

XIV.

— „Ale,—znów święty Piotr rzecze,
Ty prawisz dzieła człowiecze,
Tymczasem złoto ktoś zmiata,
Patrz—znikła cała zapłata!”
— „Ha, niech już znika, niech znika:
Piękniejsza tutaj muzyka,
Niż wszystkie skarby na świecie.
Czym to nie nędzy ja dziecię?
Gdym w biedzie dożył starości,
W biedzie niech złożę me kości;
Wolę się cieszyć tem graniem
I tem prześlicznem śpiewaniem...
Och!.. ale Święty... pierś stara
Drży, dusza kwili ze strachu...
Co to w niebieskim grzmi gmachu?
Zkąd trąb okropnych fanfara?!
Głos jako wszystkie orkany—
Drży zorza, Niebios drżą ściany...
Święty! złóż na mnie twe dłonie,
Bo w trwodze duch mi utonie.
— To w niedojrzanej ci stronie,
Rzekł Święty kładąc nań dłonie—
Jedna zaćmiła się gwiazda
I po nad stworzeń jej gniazda
Sąd weszedł... To Archanioła
Trąba Niebiosa rozrywa,
Martwych i żywych przyzywa,
Odsłania wszystkie ich czoła...”
— „A ognie tamte kto miota?
Święty! kto otwarł im wrota?”
— „Ognie, co widzisz, zkąd płoną?
Zorzy rozwarło się łono
I strasznym rzuca w krąg snopem,
Pożary nieci pod stropem,
Niebo zamienia w ognisko
I do nas sięga już blisko.
Lecz nie dosięgnie: moc Boża
W wiadome tchnie je przestworza
I tam na miejscu zachowa:
To nowej gwiazdy osnowa...
Widzisz to w ogniach zaćmienie?
Brzemiennej ziemi przestrzenie,
Złom jak kraj wielki za złomem,
Czarnym spadają ogromem
Tłumiąc ognistych sił prądy—
To nowe tworzą się lądy...”
— „A szum ten, co w nim wre zorza,
Jak gdyby wszystkich wód morza
W jeden wodospad się zlały,
Gdzie, po co toczy te wały?
Co znaczy, kto go porusza!
Mów Święty, jęczy mi dusza”.
— „To Bóg, za gwiazdę zgaszoną,
Wydźwiga nową stworzoną
I twórczych jego tchnień siła
Wody w swe miejsce posyła...”
— „Już wzrok mój słabnie, proch mały,
Pojąć nie mogę struchlały
Granic tej mocy w obszarze;
Twarz mi do ziemi przypada,
Duch rwąc się z piersi powiada,
Że już się wkrótce ukaże
Ten!..”
— „Tak, na czwartym żywiole,
Przejdzie na wałach obłoku..
Nie zniesiesz jego widoku,
Bo ciałem jeszcześ w padole.
Tam też po Ojca prawicy
Siedzi Syn Ziemskiej Dziewicy,
Który ci białą dał szatę
I który daje—zapłatę...
Słyszysz szum skrzydeł miljonów
Cherubinowych legjonów,
Przez nieśmiertelne przestworza?
Pojąć czy jesteś ty w stanie
Chórów wielbiących szeptanie,
Które natchnęła Twarz Boża?”
— „O człeku dumy i zgrozy,
Coś mnie chciał cofnąć w wąwozy
I myślą walczysz daremno—
Ach czemuś nie był tu ze mną!.”
Tak starzec krzyknął... jak brzemię
Upadł bez czucia na ziemię,
A Święty nad nim dłoń wznosi
I o *zapłatę* dłań prosi,
Gdy stwarzający, nad niemi
Przeszedł Pan Nieba i ziemi...

XV.

Starzec przyszedłszy do siebie,
Już się nie znalazł na Niebie,

Ale w tej łące, w tym gaju,
Co dotykają do raju,
Jak wtedy gdy furtę świętą
Ujrzał raz pierwszy zamkniętą.
Westchnął i wraca, lecz biała
Szata już na nim została.
A nawet koło kamienia
Co tak cudownie odmienia,
Który jak leżał tak leży,
Swej nie odzyskał odzieży.
Dążył a dążył bez przerwy
I gór tych doszedł najpierwej,
Gdzie pozostawił człowieka.
— „Może on na mnie tam czeka
I pragnie z moich ust wieści?
Może też jego boleści
Ukoję tem co opowiem,
I udaruję go zdrowiem!"—
Tak myślał starzec i kroki
Spiesznemi dążył w gór stoki,
Już niedaleko szczyt znany.
Ale milczenie w około
I z ponad dzikiej gór ściany
Dziksze nie zjawia się czoło.
Wszedł na wierzchołek, o biada!
Przez szczyt ten przeszła zagłada:
Człowiek już nie żył—li szata
Górnym się wichrem pomiata,
A włos ze świstem powiewu
Odsłania całą skroń gniewu,
Na której niby ksiąg tomy
Zmarszczek się bruździą załomy.
Pierś poszarpana, skrwawiona,
Choć zimna, zda się - że kona
I że z niej jeszcze krzyk zgrozy,
Puste porusza wąwozy.
A chociaż jego blask oka
Martwa okrywa powłoka,
Tak jednak patrzeć się zdało
W powietrze groźnie i śmiało,
Że gdy się starzec już długo
Na dół zapuszczał jarugą,
Jeszcze kruk wielki co kołem
Nad górnym bujał żywiołem,
Śmierci zwabiony zapachem,
Coraz lot cofa z przestrachem
I uciekł, bo się nie waży
Szponów zatopić w tej twarzy.

XVI

Choć z próżną sakwą i trzosem,
Zgadzał się jednak z swym losem
Starzec, gdy wracał do chaty.
Prawda, pomyśli niekiedy,
Czy się uchroni od biedy,
Albo głodowej zatraty,
Lecz mu się zaraz nastręczy
Coś tak błogiego dla duszy,
Taki dźwięk pieśni mu uszy,
Że w myśli jasno jak w tęczy
A w uchu Niebios muzyka.
Szybko więc do dom pomyka;
Zapewne szata też biała
Sił mu nie mało dodała.
I widział znowu dwa stada,
Gdzie jeden pasterz ochoczy
A drugi dziko się boczy.
Widział i babkę i dziada:
Dziadek się modli, ta bredzi;
A gdy im dał odpowiedzi,
Bardzo się smuci i biada,
Że niżej będzie od dziada,
Lecz nie na długo, bo potem
Zwykła się z swoim kłopotem,
I znowu biedna babina
Kłótnię na nowo zaczyna.
Widział i matkę szczęśliwą,
Którą wypuścił wilk żywo,
A z odpowiedzi Piotrowej,
Tak ucieszona poskoczy,
Że nawet chłopczyk różowy
Z podziwem spojrzał jej w oczy.
Widział i karczmę, lecz w tłumie
I ust otworzyć nie umie:
Ów krzyknie, inny nie słucha,
Więc święta znika otucha.

(Dokończenie nastąpi).

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.— Patrz Nr. 47).

— A to na co? — spytał zdziwiony.

— Podrę go.

— Nie rozumiem o co wam chodzi, panie bakałarzu.

— Rzecz prosta.., przysięgasz się, że mi w drogę wchodzić nie będziesz...

— Ani myślę wtrącił Antek.

— A chcesz sprowadzić tutaj Dawida, po co?....

— To moja własna sprawa.

— Rozumiem... chcecie mnie zgubić do wspólki.

— Zkąd wam znowu te myśli, panie bakałarzu. Piszę do Dawida żeby przyjechał, bo chcę sobie kupić gospodarstwo, a bez niego nie umiem się wziąć do tego. Cóż Dawidowi do was?....

— Ty wiesz najlepiej — odparł Mrożek,—Dawid ci powiedział jak się nazywam, Dawid cię posełał za mną żebyś mnie obdarł z pieniędzy. Nieprawda?....

Bakałarz wlepił swe oczy w oczy Antka, który przez chwilę tylko mógł wytrzymać ich badawcze spojrzenie.

— Oddajesz list? rzekł Mrożek po chwili.

Antek zamyślił się. Chciał się do rozsądku udać po radę, ale umysł jego pod wpływem rozmowy jaką miał z Mrożkiem nie mógł mieć dosyć jasności, ażeby sobie wyrozumować, że bez Dawida obejść się było można.

— Bez Dawida,—myślał,—nie przyjdę do gospodarstwa, bez gospodarstwa ani myśleć o Halce, a bez Halki żyć niepodobna.

Ztąd wynikało, że Dadwid musiał przyjechać do Skalic, chociaż bakałarz tego nie chciał.

Pod wpływem tego rozumowania, Antek odmówił stanowczo oddania listu.

Podczas namysłu Antka, Mrożek nie tracił także czasu i układał w myśli swe plany.

— Odda list, albo nie odda—mówił do siebie w duchu:—jeśli nie odda, tem lepiej... Dawid nie będzie wiedział gdzie jestem; jeśli się uprze i list poszle, no to i tak niebardzo źle... Dawid przyjedzie, ale nie będzie się spieszył, przyjedzie wtenczas kiedy ja chcę i nie do Antka, tylko do mnie. Byłbym zupełnie głupi, gdybym przez tydzień nie obmyślił jak ich obydwu wyprowadzić w pole; niech więc An-

tek zrobi sobie co chce, wszystko mi to jedno prawie.

Antek odmówił. Mrożek, chociaż sobie powiedział, że mu wszystko jedno, wolałby mieć list w swych rękach.

— Nie oddasz—rzekł, próbując jeszcze groźby, —więc chcesz, żeby Halka wszystkiego się o tobie dowiedziała?...

— Piśnij tylko słówko—odparł nie dając się zastraszyć Antek,— czy do Halki, czy też do kogo chcesz, a zobaczysz że całe Skalice będą wiedziały, jakiś to ty święty, Judaszu...

— Nieszczęśliwy!—zawołał Mrożek,—jeśli mnie zdradzisz, to sam się dostaniesz w kajdanki za to, żeś mnie złupił na drodze...

— Gdzie się dostanę to dostanę, ale ty zawsze wyżej wisić będziesz,—odrzekł Antek i wyszedł trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Mrożek popatrzył za nim chwilę, potem uśmiechnął się szyderczo i rzekł do siebie:

— Masz racją!... tyko szkoda, żeś głupi... uwinę ja się z tobą prędzej niż myślisz i to pewna, że będę wyżéj nad tobą, bo zostanę na ziemi a ty sobie zgnijesz pod ziemią,

Była to przechwałka przed samym sobą. Mrożek rad był się pozbyć Antka, ale nie miał jeszcze żadnego planu, jakimby to zrobić sposobem. Liczył na swój rozum że mu się to uda i zamyślił się jakby tu począć, ale myślał tak długo że go aż głowa zabolała, a nic wymyślić nie mógł.

Myśląc tak zdrzemał się nie rozebrany na łóżku, na którem siedział. Przez sen obsunął się i położył. Zmiana pozycji nierozbudziła go. Sen miał twardy i ciężki może dla tego, że głowa jego leżała bardzo nizko...

Było już może blizko północy, Mrożek wciąż pozostawał w tej samej pozycji.

Drzwi jego mieszkania po wyjściu Antka nie były zamknięte na klucz. Świeca łojowa, którą zapalił jeszcze przed zaśnięciem, dopalała się do końca i czerwone rzucała światło.

W tej chwili zapukano lekko do okna.

Mrożek się nie obudził.

W chwilę jeszcze potem wszedł do izby młody góral. Przy czerwonem świetle dogasającej łojówki, piękne jego rysy bladej i wynędzniałej twarzy, jeszcze bardziej wydawały się zbiedzone. Cała ta postać chuda i wysmukła, na której licach straszna jakaś boleść wyryła swoje piętno, wyglądała dziwnie tajemniczo, do czego oprócz oświetlenia, co chwila wybuchającej jaśniejszem światłem' to znów przygaszającej łojówki, przyczyniała się jeszcze odzież wchodzącego, zostająca w widocznym nieładzie i obok zwykłego góralskiego charakteru, mająca jeszcze rozmaite obce, Węgry przypominające dodatki.

Młody góral wszedłszy, zatrzymał się blisko drzwi i rzekł z cicha:

— Panie bakałarzu... śpisz...

Mrożek nie odzywał się wcale; leżał na łóżku tak, że twarzy jego widzieć nie było można.

Przybyły kilka razy jeszcze się odezwał co raz głośniej, a gdy i to nie obudziło bakałarza, zbliżył się do niego i dosyć mocno pociągnął za rękę.

Wtedy dopiero Mrożek szarpnął ręką silnie, zerwał się na równe nogi i niemogąc roztworzyć sklejonych twardym snem oczu, bełkotał niewyraźnie szamocząc się,jakby chciał kogoś odepchnąć od siebie.

— Czego chcecie odemnie... papiery mam w porządku... jestem Jan Świt.

Góral ujrzawszy jego twarz, mimowolnie cofnął się o parę kroków, szepcząc pomięszany:

— Wybaczcie, panie bakałarzu... to tu już nie ma dawniejszego nauczyciela?

Rozbudziwszy się i widząc przed sobą młodego. zbiedzonego chłopca, którego chociaż to było sam na sam i w nocy, nie miał potrzeby się obawiać—Mrożek prędko przyszedł do siebie i przypomniał sobie nawet ową rolę pobożnego i łagodnego człowieka, jaką od przybycia do Skalic odgrywał.

— Niech będzie pochwalony—rzekł z dobrocią—czegóż to trzeba... może kto zachorował, uchowaj Panie... tyś sam chłopcze taki zbiedzony, siadajże...

Przybyły powtórzył swoje pytanie.

— Dawnego nauczyciela nie ma już—odpowiedział Mrożek, — umarł, poczciwa dusza, wieczny jej odpoczynek... ja teraz jestem tu bakałarzem, gotowy na usługi Skaliczan i w dzień i w nocy... czegoż ci potrzeba, mów śmiało... nazywam się widzisz Jan Świt... ludzie mnie tu znają żem dobry człowiek.

— O! panie bakałarzu—rzekł przybyły,—ja jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy.

Mrożek spojrzał na chłopca: dwie łzy pływały po jego wynędzniałych policzkach.

— Głupiec jakiś, beczy jak baba—pomyślał,—ale to dobrze, mnie właśnie głupich potrzeba.

Myśl ta nie przeszkadzała mu odpowiedzieć.

— Nieszczęśliwy!... oh! jakże mi cię żal mój chłopcze... powiedz w czem ci mogę poradzić, jak pocieszyć... musiałeś mieć przyjaciela w dawniejszym bakałarzu... Pan Bóg go zabrał, ale ja go wyręczę i co będę mógł zrobię dla ciebie... opowiedz mi swoje nieszczęście.

— Szkoda to wielka, że tamten poczciwy człowiek już nie żyje—lamentował młody góral,—on mnie sierotę kochał jak syna, a ja go jak ojca kochałem. Bo ja, widzicie panie bakałarzu, jestem biedny chłopak, ojcowie dzieckiem mnie odumarli, nie pozostało po nich nic. Więc służbą dorabiałem się u ludzi, a bakałarz co tu był przed wami, podał mi rękę i wyprowadził na człowieka. Byłbym miał lepiej i inaczej na świecie gdybym go słuchał, ale mi w oczy wpadła dziewczyna i przez nią to całe nieszczęście... Nazywali mnie ludzie Jankiem Gąsienicą, widzicie, panie bakałarzu i ot...

Góralowi zabrakło głosu, a Mrożek nie wiele się dowiedział z całej tej przemowy, jaśniejszej daleko dla czytelnika niż dla mniemanego Jana Świta. Z początku gadanina Janka nudziła go nawet uroczyście i niemało się w duchu naprzeklinał swego nowego powołania i roli baranka jaką wziął na siebie. Kiedy jednakże Janek powiedział, że ową dziewczyną co była powodem jego nieszczęścia była Halka Kałatówna, Mrożek baczniej zaczął zwracać uwagę na jego opowiadanie.

Zbytecznem byłoby powtarzać tutaj znane już czytelnikowi szczegóły romansu Janka z Halką. Poszedł w świat, ażeby jej przynieść korale i teraz powracał z niemi. Praca w dolinach, różnica klimatu, tesknota za górami, o których nigdy nie mógł zapomnieć, i za Halką o której bardziej może jeszcze niż o rodzinnych górach pamiętał—wszystko to razem wywarło na Janka taki wpływ, jaki zwykle podobne wędrówki na góralach wywierają. Stracił zdrowia dużo, a pieniędzy przyniósł niewiele. Po-

łowę z tego co zdołał uzbierać wydał na kupno korali, zostawało mu ledwie drugie tyle, jakieś kilkadziesiąt reńskich, które przeznaczał albo na wesele jeżeli mu Halka wierną pozostała, albo na pogrzeb dla siebie jeśli już poszła za innego—czuł bowiem, że tego nie przeżyje.

Z takiemi myślami pędził do Skalic niespokojny, ale z rozkoszą w duszy. Ludzie mu radzili, żeby się o kilka mil od miejsca na noc zatrzymał, ale nie chciał słuchać nikogo. Pamiętał najkrótszą drogę przez góry, na których niegdyś juhasił, i puścił się nią nie mogąc przenieść na sobie, żeby tego wieczora jeszcze Skalic nie zobaczył.

Noc już była kiedy stanął na miejscu. Nie poszedł do karczmy szukać noclegu, zbyt mu pilno było gdzie indziej. Widział chatę Kałata w blasku księżyca, spieszyło mu się dostać do tej chaty, zapukać do niej i tej co mu otworzy, rzucić się na szyję. Będąc jeszcze daleko myślał czasami, że Halka nie dochowała mu wiary, lecz im bardziej się zbliżał, tem mocniej był przekonany, że na niego czeka taka jak ją zostawił i że go przyjmie otwartemi ramiony.

— Wszystko jak było... góry, ścieżki, skały i drzewa—mówił do siebie,—chaty stoją na tych samych miejscach, dzwonnica kościelna nie przewróciła się, las świerkowy nie zniknął, sierp księżyca tak samo wązki wyrzyna się z po za góry, też same gwiazdy iskrzą się na niebie... nic nie zmieniło się do koła... jednażby się Halka zmieniła?...

Samo to przypuszczenie, uważałby za grzech śmiertelny.

Szedł więc pewny siebie do chaty Kałata.

Światło miesięczne które na nią spływało, pozwalało mu widzieć wszystko nie będąc z daleka widzianym, gdyż był ukrytym w cieniu jednego z odległych szczytów.

Patrzył... miał w owej chwili oczy jakie ma chyba sokół lub orzeł Karpacki. Patrzył i widok jaki mu się przedstawił, przykuł go niemego do miejsca.

Młody jakiś chłopiec przybiegł do chaty, zapukał w okno, postał chwilę—potem drzwi się otworzyły i wyszła z nich dziewczyna i on jej się rzucił na szyję, a ona broniła mu się niby i odpychała go, ale tak jak to robią dziewczęta kiedy się bronią uściskowi, a jednakże mu są rade.

Janek ją poznał, a gdyby i miał wątpliwość to by ją były rozproszyły dwa wyrazy, które mu do uszu dobiegły:

— Haluś moja!

Jak je mógł usłyszeć z dosyć daleka nie pojmował i nie zastanawiał się, dość że je słyszał i że wątpić nie było można. Echo górskie donośniejsze jeszcze w nocy niż za dnia, do samych uszu mu przyniosło oskarżenie dziewczyny, dla której stracił zdrowie i kilka lat męczarni przeżył.

Halka zapomniała o nim zupełnie.

Stał tak Janek dosyć długo i patrzył. Nagle ciemno mu się w oczach zrobiło; przez chwilę jakąś niewiedział co się z nim działo, później wydobył z torby ostry nóż, wziął go w rękę i nie patrząc przed siebie, puścił się ku chacie Kałata.

Gdy tam stanął—Antka i Halki już nie było: dziewczyna powróciła do siebie, Antek zaś odbiegł daleko i znikł w głębokiem cieniu czy w wąwozie.

Janek znów stał przez czas jakiś i dumał. Krew ochłodła nieco. Schował nóż i myślał dość długo.

Później zbiżył się do chaty, zapukał.

Po niejakim czasie okno się otworzyło i głowa Halki ukazała się przez nie; spojrzała na niego jak na upiora albo stracha. Czy poznała czy nie poznała, trudno wiedzieć—dość, że gdy Janek przemówił do niej słowo aby jej się dać poznać po głosie, przymknęła szybko okno i rzekła:

— Idźcie sobie.

— Haluś... czy nie znasz mnie... jam Janek.

— Ruszajcie zaraz... nie znam żadnego takiego —odpowiedziała, zamknęła się i znikła.

Janek pozostał i nie wiedział już później co się z nim działo. Jakim sposobem i w jak długi czas potem znalazł się przed domem bakałarza, w którego okienku się świeciło, nie mógł sobie zdać sprawy; dość że dopiero wtenczas się opamiętał, gdy ujrzał to światło i swego dawniejszego nauczyciela sobie przypomniał.

Wszystkie te szczegóły opowiedział Mrożkowi z taką szczerością, z jaką człowiek na spowiedzi oskarża się przed kapłanem.

Mrożek słuchał z rosnącem co chwila zajęciem. Gdy przyszło do historji o nożu, oczy mu się zaiskrzyły tak, że Janek nawet mógłby to był zauważyć, gdyby w usposobieniu w jakiem się znajdował nie było to dla niego obojętnem.

— Ten chłopak może mi się przydać—rzekł do siebie odgrywający rolę świętego bakałarz,—byle tylko miał ostry nóż, już ja nim pokieruję jak zechcę.

Wysłuchawszy całego opowiadania Janka, rzucił mu kilka słów pociechy i przyrzekł mu wybadać Halkę, czy by się nie dała napowrót do niego nakłonić, a swemu nowemu kochankowi dać odprawę.

— Tymczasem pozostań u mnie—mówił do niego,—ale niepokazuj się bardzo ludziom we wsi... Wszakże wszyscy znać cię tu muszą.

— Ona mnie nie poznała, to mnie nikt nie pozna.

— Prawda, że wyglądasz okropnie... musiałeś się bardzo odmienić.

— Febra mnie tak zjadła na Węgrach.

— No, widzisz, to i nie dziw że cię nie poznała dziewczyna. Zostań tu u mnie z tydzień, odpasiesz się cokolwiek, wystroisz i pójdziesz do niej, a już ja tak zrobię, że cię przyjmie wcale inaczej jak cię zobaczy. Tylko mnie słuchaj i bądź cierpliwy. Koło niej kręci się teraz Antek, jakiś przybłęda, którego tu nikt nie zna w Skalicach, ale któremu z czów jakoś na zbójnika patrzy. Gdyby ci chciał włazić w drogę, to mu błyśniesz nożem przed oczyma nie dla tego żeby go zabić, broń Boże, tylko tak sobie żeby go nastraszyć... Jak zobaczy że nie myślisz żartować, to sobie pójdzie ze wsi, i nie zostanie po nim śladu. Tylko i z tem zaczekaj, aż ja ci powiem i gdybyś go poznał przypadkiem, nie mów do niego ani słowa.

Janek przyrzekł bakałarzowi posłuszeństwo, ucałował jego ręce z wdzięczności za dobrą radę, i uszczęśliwiony promykiem nadziei, którym Mrożek zaświecił mu przed oczyma aby go uspokoić do czasu, chętnie usłuchał zaproszenia nauczyciela i położył się spać w miejscu przez niego wskazanem.

Młodość, zmęczenie, osłabienie, a najpewniej może owo światełko nadziei, które Mrożek tak umiejętnie daleko przed nim zapalił—uśpiły go bardzo prędko.

Bakałarz nie zaraz jeszcze poszedł na spoczynek.

— Nie znam tego chłopaka—myślał,—ale jeżeli się nie mylę to jest szaleniec jakiś. Jeżeli spotka Antka, gotów się cisnąć na niego w biały dzień, w obec ludzi... nie czekając nawet aż mu dam znak.

Już ja będę umiał tę jego gorączkę podniecić. Złapią go za to i powieszą... ha! to cóż?... niby z takiego głupca, który dla jakieś tam dziewczyny całe sobie życie zatruwa byłoby co leszego na świecie?... A mnie odda przysługę, będę mu za nią wdzięczny, najwdzięczniejszy... uwolni mnie od tego chłopa, który bądź co bądź zgubić mnie może. Tylko trzeba żeby mnie uwolnił na pewno, trzeba żeby miał ostry nóż...

Tak myśląc poszedł do Janka, przypatrzył mu się przez chwilę, a widząc że śpi twardym snem, wydobył nóż z jego torby i wszedł z nim do swej izby.

Janek mając iść piechotą przez góry z koralami i pieniędzmi, na które bardzo długo pracował, walcząc z chorobą i tęsknotą, i które dlatego uważał za skarb niesłychany, obawiał się napaści i zaopatrzył się dobrze.

Nóż był dosyć ostry, śpiczasty, długi.

— Niezłe w cale narzędzie—mówił do siebie Mrożek, przyglądając mu się —już i teraz, gdyby tak niem pchnąć dobrze pod żebro, możnaby się dobrać do serca. Nie zaszkodzi jednak zrobić je jeszcze lepszem i to zaraz... może już jutro będzie go potrzebował, a w każdym razie im prędzej tym lepiej... to też trzeba żeby nie chybił... na przezorności nikt nie stracił... zrobię mu go ostrym jak woda.

Przez jakie pół-godziny następnie Mrożek zajmował się ostrzeniem noża, z początku na osełce, potem na swym pasku od brzytwy, aż wreszcie nóż włosy przecinał.

— Tnie jak brzytwa – rzekł przypatrując się swemu dziełu.

Koguty wiejskie piać zaczęły.

— Godzina duchów,—myślał Mrożek,—gdyby tam był gdzie jaki szatan, możnaby zakląć ten instrument.

Uśmiechnął się do swojej myśli. Nowe pianie kogutów dało się słyszeć. Wstał, wziął nóż w rękę, przybrał komiczno-poważną postawę i wyrzekł nad nim uroczyście:

— W imię szatana, jeżeli jest gdzie jaki szatan, zaklinam cię—bodaj ten nie wstał kogo draśniesz.

Nie wiedział czemu, ale zimno mu się jakoś zrobiło po wymówieniu tego zaklęcia.

Włożył nóż napowrót do torby Janka, położył ją na swojem miejscu, potem rozebrał się spiesznie i poszedł do łóżka, ale długo jeszcze zasnąć niemógł.

Rozmaite myśli mu przychodziły, a jedna nad drugą przykrzejsza.

Zawsze głupstwa robię – myślał,—po co było ten nóż przeklinać?... i to jeszcze tak ogólnie przeklinać... gdybym choć był powiedział wyraźnie, jeżeli draśniesz Antka... albo ja wiem dla kogo ten nóż przeznaczony?...

Zamyślił się znów przez chwilę.

— Ot głupstwo — mówił do siebie znowu, — zaczynam być przesądnym jak pierwszy lepszy chłop z Podhala, gdyby kto słyszał moje myśli, gotówby mnie posadzić o wiarę w zaklęcia i w przeznaczenie. Tfu, plunąć na to... A gdyby nawet było przeznaczenie, to cóż mnie obchodzi dla kogo ten nóż przeznaczony?... Możnaby ze świecą szukać na świecie człowieka, po którymbym płakał... Jeżeli nie zabije Antka, to niech sobie zabije kogo chce, zupełnie mi to wszystko jedno, będę tylko żałował, że Antek wyszedł cało... Ot, gdyby naprzykład ten kozik był przeznaczony dla Dawida, albo dla mego stryjaszka Świta... a i owszem!... choćby nawet dla obu razem!... Dawid zabrałby z sobą do ziemi to co wie,—a stryjaszek wprawdzie nic nie wie, ale nie zabrałby z sobą tego co ma, i komużby się to dostało?... mnie!..

Ta myśl tak ucieszyła Mrożka, że mu sen już zaczynał zamykać powieki.

Ale wkrótce inna myśl wywiązała się z tamtej i sen odpędziła nanowo.

— A gdyby nóż był przeznaczonym dla mnie?...

Na Mrożka zimny pot wystąpił.

— Tfu na psa urok—rzekł spluwając,—otóż na co mi przychodzi na starość?.. myślę o przeznaczeniu i zaklęciach jak jaka baba.

Całą siłą woli chciał odpędzić tę myśl, lecz mu trudno było tego dokazać; do samego rana miał sen nadzwyczaj przerywany, budził się często, spluwał i powtarzał:

— Ot głupstwo!... na psa urok!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

SZKOŁA ROLNICZA W CZERNICHOWIE.

Szkoły przeznaczone do wykładania przedmiotów koniecznych do wykształcenia należytego w jakim zawodzie, mnożą się ciągle. Co rok powstają nowe szkoły handlowe, rzemieślnicze, malarskie, rolnicze, leśne, ogrodnicze, a nawet w Niemczech są w kilku miejscach szkoły dla pastuchów. Rysunek jaki macie na str. 392ej przedstawia Szkołę rolczę w Czernichowie pod Krakowem dla Galicji Zachodniej. Założoną ona została w r. 1860 przez Towarzystwo Rolnicze Krakowskie we wsi Czernichowie nad Wisłą, o trzy mile od Krakowa.

Szkoła ta należy do tak zwanych Szkół rolniczych niższych, dla wykształcenia dobrych rządców i innych urzędników gospodarskich. Uczą w niej rolnictwa, sadownictwa czyli hodowania drzew i krzewów owocowych, ogrodnictwa czyli hodowania warzyw, pszczolnictwa, leśnictwa, weterynarji czyli nauki leczenia zwierząt gospodarskich, dalej chowu tychże zwierząt, miernictwa gruntów, stawiania budynków, oprócz tego religji, czytania i pisania po polsku, oraz rachunków. Opłata roczna wynosi złotych reńskich 150 czyli złp. 600 a rs. 90. Nauki w Szkole trwają lat cztery. Pięćdziesięciu uczniów może się pomieścić w Szkole.

Nadmienić potrzeba, że za owe 150 złotych reńskich rocznie uczniowie mają życie, odzież, naukę i pomieszkanie — ale roboty w polu należącem do Szkoły a wynoszącem 470 morgów rozległości w raz z lasem, muszą wykonywać sami; Szkołą zarządza Towarzystwo Rolnicze Krakowskie. Druga podobna szkoła rolnicza w Galicji, znajduje się w Dublanach pod Lwowem.

W Królestwie Polskiem są także Szkoły rolnicze: w Końsko-Woli, w Niegłosach pod Płockiem, w Woronowie pod Radomiem i w Radomsku — mieście przy drodze żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej. Opłata roczna za naukę i życie wynosi rs. 50 w dwóch ratach półrocznych.

Jan z Ojrzycy.

ABECADŁO DLA MŁODYCH KOBIET.

Aniołem na tej ziemi staje się niewiasta,
Jeśli w cnoty płci swoje zdobi się i wzrasta,
Jeśli pomna na swoje wielkie przeznaczenie, —
Pełni w życiu myśl Nieba, w czyn zmienia natchnienie.
„Belkę sobie wyjm z oka, potem źdźbło z ócz brata.”
Tak nas naucza Chrystus, Bóg i Pan wszechświata;
Gdy cię język złośliwy do obmowy nęci,
Miej tę Boską naukę zawsze na pamięci.
Czas oszczędzaj jak złoto, a nie trwoń go marnie,
Bo ci to w dalszym wieku nie ujdzie bezkarnie;
Twe wrodzone talenta niech podnosi praca,—
To człowieka uświęca, wzmacnia wzbogaca.
Dobroć, tkliwość, łagodność,—są to dary Nieba,
O te skarby najbardziej starać się potrzeba;
Niemi wszystkich zniewolisz i osłodzisz życie,
One najpożądańsze są w każdej kobiecie.
Elegancja twa cała niech zależy na tem,
By czystość była w domu, a dom był ci kwiatem;
Czy pościel, czy bielizna, czy czyste odzienie,
Czyste serce, myśl czysta i czyste sumienie.
Fanatyk jest szaleniec, bigot syn nałogu;
Nie mówieniem pacierzy podobasz się Bogu,
Lecz kochaj Go nad wszystko, bliźniego jak siebie,
Znoś w pokorze czas próby,—Bóg pocieszy ciebie.
Gospodyni zadaniem najważniejszem będzie,
Baczne oko na wszystko mieć zawsze i wszędzie,
Na wszystkiem w gospodarstwie znać się i rozumieć,
I by drugich nauczyć samej najwpierw umieć.
Hałas, wrzawa z sługami nie działa skutecznie,
Trzeba czasem połajać a nie zrzędzić wiecznie;
Bo jak zbytnia powolność często ludzi psuje,
Tak i zbytnie zrzędzenie to samo sprawuje.
Igiełka gdy się miga w płci nadobnej ręku,
Dodaje jej szacunku, powabu i wdzięku;
Bo muzyka, śpiewanie, wszystko to chwalebne,
Lecz pamiętaj! koszulki są także potrzebne.
Kuchnia, pralnia, spiżarnia,—to nie bagatele,
Do tego trzeba wprawy, doświadczenia wiele,
By wszystko szło jak z płatka, wszystko w prawie, w czasie,
I będzie to gdy na tem pani domu zna się.
Lekkomyślność, trzpiotarstwo, zbyt szkodzą niewieście;
Czy ona mieszka na wsi, czy w stołecznem mieście,
Wszędzie takt przyzwoity zachować należy,
By tem nie uzuchwalać już śmiałej młodzieży.
Łatwowierność jest wadą młodzieńczego wieku,
Wpierw się dobrze przekonaj nim zaufasz człeku;
Poznać, zbadać człowieka—to także nauka,
Kto dowierza zbyt łatwo, łatwo się oszuka.
Majątek jest rzecz nie zła, kto go umie użyć,
Tym się może krajowi i biednym przysłużyć;
Im więcej będziesz miała dostatku, pieniędzy,
Tem więcej winną będziesz krajowi i nędzy.
Nauka dziś się stała ludziom koniecznością:
Oddawaj się nauce i kształć z troskliwością,
Albowiem nikt się jeszcze z ludzi nie przeuczył,
A głupi często sobie i drugim dokuczył.
Oszczędność jeśli tylko w skąpstwo nie przechodzi,
Jestto rola uprawna co dostatki rodzi;
Ochydne skąpstwo zawsze stratą się odpłaci,
Nie bądź skąpą, bo skąpy zwykle dwakroć traci.
Piękność wdzięczny to kwiatek, lecz prędko okwita;
Godna politowania jest taka kobieta,
Która jak paw' ogonem pięknością się puszy,
Piękność bowiem bez cnót,—to ciało bez duszy.
Rzetelność,—ta odwieczna ojców naszych cnota
Niech będzie twym udziałem. Istna to marnota
Kto matactwem, szacherką, chce dopomódz sobie,
Taki można powiedzieć żywcem leży w grobie.
Szacunek przynależny w miarę zasług, wieku,
Jako dług daj każdemu uczciwemu człeku;
Nie pytaj czy go atłas, czy płócienko kryje,
Często pod zgrzebną szatą złote serce bije.
Tarczą twoją niech będzie skromność i niewinność;
Postępuj swoją drogę, czyń swoją powinność;
Tarcza to archanioła, z której grom uderza,
Jeśli szatan złowrogi zgubić cię zamierza.
Umiarkowanie w mowie, w każdym ruchu, czynie,
Wdzięk, godność osobista,— przystoją dziewczynie;
Bo gdy tylko kobieta w czemkolwiek przesadza,
Że nie ma w tem nic prawdy, sama się z tem zdradza.
Wielkomyślność, szlachetność,—śliczne to przymioty,
Oba one praojców naszych dawne cnoty;
Nie bądź mściwą, czyń dobrze nawet i dla wroga,
Tą drogą się najłatwiej przybliżysz do Boga,
Zazdrość w serce kobiety jeśli się zakradnie,
Najzacniejsze uczucia wyziębi w niem snadnie;
Więc przed zdradnem uczuciem chroń serce twe młode,
Bo zwiędniesz i zbyt wcześnie utracisz swobodę.
Źdźbła nawet fałszywości nie miej w swojej duszy,
Gdyż fałszywość jest mieczem, który łatwo zgłuszy
Rodzinne nawet cnoty od matek nam dane,
By przez was waszym córkom były przekazane.
Życie ludzkie,—to podróż, z razu szczęściem łudzi,
Lecz miły jest spoczynek, gdy podróż utrudzi,
Więc chociaż słońce świeci w twym życia poranku,
O spoczynku za grobem—myślij bez przezstanku.

Marja.

KRAWIEC NAPOLEONA I-go.

Niedawno zmarł w Paryżu niemal stoletni staruszek Lejée, krawiec Napoleona I-go. Wiadomo, iż cesarz wydawał przeszło dwadzieścia tysięcy franków rocznie na własne ubranie, a że pilnował sam aby rachunki krawcowi płacono regularnie, nie dziw więc że przy wziętości u innych dostojników dworu, p. Lejée uciułał sobie wcale nieszpetny mająteczek, przynoszący ni mniej ni więcej tylko stotysięcy franków rocznego dochodu. Porzuciwszy swą professję, podczas Restauracyi osiadł sobie we wspaniałej posiadłości Vill d'Avrais pod Paryżem. Każdego roku w czasie imienin cesarza Napoleona zgromadzał liczną familję i wydawał wspaniały bal, który powtarzał się także na jego własne urodziny. W 1866-m roku, na trzy dni przed swą uroczystością, zmarł nagle licząc jak powiedzieliśmy lat dziewięćdziesiąt dziewięć. W testamencie zapisał 20,000 franków dla kassy wzajemnej pomocy krawców istniejącej w Paryżu. Z powodu jego śmierci, gazety Paryzkie opowiadają anegdotkę o sposobie w jaki powstał sławny szaraczkowy surdut Napoleona I-go. W końcu Października 1805 r., Cesarz przejeżdżał przez Paryż, udając się z obozu pod Boulogne ku wybrzeżom Renu. Wtedy zawezwał swego krawca. Naturalnie Lejée natychmiast pospieszył, ale że czas był chłodny, na wierzch tradycjonalnego fraka nadział długi surdut.

— Monsieur Lejée—rzekł Napoleon — rozmów się pan z moim kamerdynerem w przedmiocie nowych mundurów dla mnie. Czeka mnie długa kampanja i pragnąłbym mieć ubiór ciepły, mocny, a przedewszystkiem wygodny, ot np. coś w rodzaju surduta, który widziałem na tobie.

— Rozkazy waszej Cesarskiéj Mości spełnione

będą. Idzie tylko o wybór koloru sukna: proponowałbym zielony, lecz ciemniejszy niż na mundurach...

— Nie, nie— odparł Napoleon—kolor zielony nadzwyczaj plamisty. Najlepiej wybierz pan szaraczkowy, kurzu na niem nie znać.

W dwa miesiące później, w noc poprzedzającą Austerlicką bitwę, Cesarz przechodził się między swemi wojskami i wtedy poraz pierwszy zjawił się w historji „szaraczkowy surdut małego kaprala” przy drżącem świetle obozowych ogni.

Adam Wiślicki.

ROZMAITOŚCI.

— **Kurjer Lubelski.** Z przyjemnością prawdziwą wypada nam tu wspomnieć o Kurjerze wychodzącym w Lublinie, a mało znanym w Warszawie. Lublin jest miastem liczącem 22,000 mieszkańców i po Warszawie i Łodzi, jest pierwszem miastem w Królestwie. Miasto tak ludne powinno mieć swoje pismo, zwłaszcza że i gubernja Lubelska w obrachunku prenumeratorów coś znaczy. Za granicą miasta o wiele mniejsze od Lublina mają swoje dzienniki, czemużby nasze większe miasta swoich organów mieć nie miały? Kurjer Lubelski w części redagowany jest jak Kurjery Warszawskie, ale w części przewyższa ich, a mianowicie w poruszaniu i badaniu dość gruntownem spraw miasto obchodzących np. kwestji służących, kwestji gry w karty, teatru i t. p. *Kurjer Lubelski* wychodzi trzy razy na tydzień i oprócz artykułów z życia miasta Lublina, ma korrespondencje z Warszawy, z okolic Lublina, opisy miejscowości w Lublinie lub w Lubelskiem, wiersze, ogłoszenia i wiadomości polityczne — słowem redagowanie Kurjera bardzo jest odpowiedniem i czasowi i miejscowości.

— **Domy dla robotników.** W Francji w miasteczku Guise, w departamencie Aisne, zacny filantrop Godin Lemaire wystawił w tych czasach dom dla robotników zwany *familesterem*, dla tego że mieszkania w nim są urządzone dla robotników z rodzinami. Do zakładu tego należą ogrody, laski i łąki. Wewnętrzny dziedziniec pokryty jest szklanym dachem, tak, że w każdej porze roku dzieci tu swobodnie bawić się mogą. Każdy lokal składa się z przedpokoju spólnego i dwóch pokojów. Dziedziniec i schody przez całą noc gazem są oświetlone. Po całym zakładzie rozchodzą się rury z wodą, która do wszystkich mieszkań dochodzi. Wszystkie sprzęty domowe, żywność, odzież i tym podobne niezbędne rzeczy, nabywać można po umiarkowanych cenach w tym samym zakładzie, w sklepach znajdujących się na dole. Dla bezżennych robotników jest urządzona w tymże zakładzie piwiarnia i restauracja, w której za $^3/_4$ lub 1 franka można mieć stół bardzo przyzwoity. Wynajęcie nieumeblowanego pomieszkania kosztuje średnio $4\,^1/_2$ franka miesięcznie; umeblowany zaś kosztuje 8 franków. Oprócz tego znajdują się tu: czytelnia dzienników, sala biladrowa, bufet, łaźnia, pralnia, ochronka i szkółka.



Szkoła rolnicza w Czernichowie pod Krakowem (do str. 39)-ej).

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*W miejskim zajezdnym domie.*)

— Młody spadkobierca. No, jakże ci się podoba, panie Michel, moja kareta nowa?

— Michel. Bardzo śliczna.

— Młody spadkobierca. Nie znoszę niewygodnej jazdy i sprowadziłem wprost z Wiednia ten powóz, zapłaciwszy *comme de raison* 500 dukatów.

— Michel. Znałem ja nieboszczyka ojca jasnego pana, kiedy jeszcze chodził piechotą, bo on tak sobie nogi był zepsował, że na starość musiał jeździć w karecie. Jaśnie pan rozumnie sobie radzi, bo teraz jeżdżąc w karecie, zakonserwuje nogi, a na starość będzie można doskonale chodzić piechotą.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.